

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc. Każdy oddział składa się z dwunastu półarkuszy, których cena dla emigracyi franków pięć, za granicą złotych polskich dwanaście. Komu z emigrantów dogodniej, może rozdzielić opłatę na dwie części. Adres Redakcyi: *M. André*,



Polonais, rue Vieux-Marché aux Poissons, 69, à Strasbourg (Bas-Rhin). Można także zapisywać się i składać opłatę w Paryżu: w Redakcyi *Demokraty Polskiego*, w Księgarni Polskiej i u Ob. Jokisza; na prowincyi zaś u sekretarzy Towarzystwa Dem. Pol.

PSZONKA.

DZIESIEĆ OBRAZÓW, ITD.

Kto przeczytał jak my *Dziesięć Obrazów*, całe, wszystkie z przedmową, z poezją, z przypiskami, jednym słowem od deski do deski (wyjawszy stronnice omyłek, bośmy uważali całe dzieło za jedną wielką omyłkę) ten zdaje się wywalczył sobie prawo powiedzieć o nich słów kilka, wysapać się po takim trudzie.

Teraz tylko sęk od czego zacząć? Po odbytym takim przeczytaniu niełatwo się połapać, zaprowadzić zwyczajny szyk w głowie. Po co ta troska? Alboż twórca *Dziesięciu Obrazów* nie dał nam przykładu grubego jak tom o kilkuset stronicach, że przy dobrej chęci, przy śmiałości, przy pomocy bożej, można pisać bez ładu i składu co chcemy i jak długo chcemy? Ha! dzień się wola boża, zaczynajmy!

Proza na wstępie — coś nakształt przedmowy, nakształt odezwy — potem wiersze, potem znowu proza, przypisy i jeszcze przypisy, i bez końca przypisy, nieobejrzane, niezgłębione, nieobczytane. Mamyż zacząć od prozy czy od poezyi? Ale twórca ostrzega w przedmowie, czyli we wstępnym przypisku że jego dzieło nie jest ani prozą ani poezją. Cóż tu począć? Zdać się na los. Bierzemy więc za poezję prozę rymowaną, a za prozę te wiersze gdzie rymów połapać niemożemy. Według tego, jeżeli się niemylimy, proza będzie w przedmowie i przypisach, a poezya w scenach zwanych właściwie *Dziesięciu Obrazami*. Pierwszeństwo dajemy poezyi (prosimy pamiętać że przez przypuszczenie tylko używamy tej nazwy).

Jaka była główna myśl poety? domyślać się tylko możemy. Ale że domysł może być mylny, zdanie więc o tém zatrzymamy przy sobie. Że jednak trzeba coś powiedzieć, to z resztą powiemy. Zdaje się nam tedy że poeta chciał uwiecznić tak zwaną partyzantkę Zaliwskiego. Miarkujemy to po wprowadzonych na scenę osobach takich: jak Zaliwski, Wollowicz, Zawisza, Konarski i tym podobni. Pole działania ogarnia Francję i Polskę, dostało się nawet i górze S^{go} Bernarda. Działanie opiera się na wypadkach licznych i ważnych. Wtajemniczamy się w narady paryskiego węglarstwa, patrzymy na świat z gór szwajcarskich, wi-

Oddział III. *Półarkusz 10.*

dzimy bitwę oddziału *Dziewickiego* z Moskalami i śmierć dowódcy, słyszymy opowiadanie o powieszeniu Zawiszy, itd. Wypadki te są w rzeczy samej ważne i mogą zaspokoić największy talent. Poeta nieprzesłał na nich: wprowadza nas jeszcze między szlachtę galicyjską, dla przypatrzenia się Majorowi T..., wcale na to niezasługującemu przy całym duchu satyrycznym, którym autor chciał nacechować tę scenę: nakoniec, jakby dla wyczerpania całego dramatycznego zawodu, przesnuł swoje dzieło miłosnemi cierpieniami, a wszystko zawiązał śmiercią Kassylidy, kochanki Wollowicza. Jakkolwiek litujemy się nad tą ofiarą niewinną, a jedynie, jak się zdaje, ofiarą rozhukanego ducha poety, niemożemy jednak poczytywać tej śmierci za złe, widząc że ona zakończyła *Dziesięć Obrazów*, zgładziła niejako cały grzech poetyczny.

Oddaliśmy w głównych rysach główną ośnowę dzieła z całą jasnością i porządkiem, jaki mogliśmy z niego wyczerpnąć, a ze zwiezłością, dzięki bogu, większą. Niech więc wolno nam będzie na mocy tej zasługi, dotknąć jeszcze jednego szczegółu *Dziesięciu Obrazów*, jednego tylko. — W dramatach zwyczajnych poetów, poetów starowierców, osoby wprowadzone występują z właściwemi sobie charakterami, każdy ze swoją fizyonomiją, każdy mówi językiem stosownym w duchu swojej roli; ale takie indywidualizowanie (sobkownstwo) przeciwnie jest doktrynie *Dziesięciu Obrazów*. Spółność własności rozszerzona tu do własności duchowych; bohaterowie weszli na scenę pod warunkiem poświęcenia całkowitego swoich osób na korzyść jednej jednostki, którą jest autor: wszyscy zleli się w autora; przez autora wszyscy mówią. Panny deklamują jak węglarze, partyzanci śpiewają jak panny, a wszyscy, widąc, wyuczuli się jak kanarek przy pozytywku: Bieda temu kto zapomni że owoce ziemi do wszystkich należą, a ziemia niemoże być niczyją własnością. Jednym słowem, jestto widowisko *Poliszynella*, gdzie się pokazują wprawdzie różne osoby i dokazują różnych figlów, ale ukryty figlar piszczy za wszystkich. Pisarz przypisów, jednym słowem: przypisarz, wyobraża tu kota znajomego publiczności *Pół-Elizejskich*; około nieruchomości jego nauki, jak około kota jasełek krąży całe działanie *Dziesięciu Obrazów*. Z innego znowu

stanowiska uważając dzieło: jestto potrochu wszystkiego; w układzie podobne do porządku galerii parawanowej, a w mieszaninie do siekaniny z różnego mięsiva, opieprzonej niemilośnie deklamującym osobnictwem poety. Niejesteśmy w stanie powiedzieć coś więcej o poetycznym obliczu Dziesięciu Obrazów mimo szczerzej chęci. Idźmy więc do prozy.

Powiadają że w dziele: Dziesięć Obrazów, nie przypisy napisane są dla tekstu, ale tekst dla przypisów; że mniej tu chodziło o poetyczne wystawienie partyzantki, jak o wygadanie się w przedmiocie kilku niby wyobrażeń społecznych, mających ukonstytuować niby królestwo boże. Czy tak jest czy nie, to pewna, że jakkolwiek poezja Dziesięciu Obrazów nie jest poezją, jednak stoi nierównie wyżej od prozy przypisków. Może dla tego, że mniej się wdawała w rozmowienia i przeszliźnęła się tylko po wierchu doktryny w przypiskach zawartej? Tego nie wiemy.

Ale są w tym dziele rzeczy które wiemy, o nich więc pogadamy, zapowiadając z góry że nie zrobimy tej krzywdy zdrowemu rozsądkowi publiczności polskiej, abyśmy się wdali w szczegółowe roztrząsanie wszystkich wyobrażeń przeciwnika.

Zwrócimy się naprzód do tego co się nam podoba, i za co powinniśmy podziękować.

I tak, dziękujemy przypisnikowi za piękny cel dzieła.

Dziękujemy za to co mówi o miłości, o poświęceniu się, o patriotyzmie, o czci powinnej męczennikom Polski, o ukorzeniu się przed ich wzniosłą śmiercią, o zbawieniu przyszłych pokoleń przez powszechne poświęcenie się na wzór Chrystusa.

Dziękujemy za to co mówi o wyprawie Zaliwskiego, o mężach tej wyprawy, o jej przeciwnikach.

Dziękujemy że chce wszechwładztwa ludu, że wierzy w lud jako w najwyższą po Bogu potęgę.

Dziękujemy za wszystkie ciosy wymierzone w Mikołaja, w królów, w szlachtę, w ciemiężycieli, w bałwochwalstwo polityczne.

Dziękujemy za dawane im nazwy: złodzieiów, rozbójników i tym podobne. Sami nieśmielibyśmy ich użyć, ale radujemy się w duchu kiedy znajdujemy wyręczycieli. Prosilibyśmy tylko dodać do tej litanii komunistów. Zaprawdę, zaprawdę powiadamy przypisnikowi, choć ich niemamy jeszcze za jedno ani ze złodziejami, ani z rozbójnikami, ale jesteśmy przekonani, że ich doktryna usiłująca przerabiać dziś Polskę na swoje kopyto, zrządziłaby jej tyle złego co złodziej, szlachcie i rozbójnik Mikołaj, posłużyłaby im przynajmniej jako pożądany sprzymierzeniec przez zawichrzenie rozumu i budowy polskiej, wywrótem wszystkich jego pojęć narodowych, wszystkich podstaw do góry nogami.

Dziękujemy, jednym słowem, za wszystko dobre cośmy pojęli i niepojęli. Są to myśli nasze, bo przypisnik wziął je stamtąd skąd i my bierzemy — z serca chrześcijańskiego. Polecilibyśmy nawet podobne miejsca naszym czytelnikom, gdybyśmy widzieli w nich cierpliwość naszej równi; jakkolwiek bowiem są piękne w swojej istocie, są obok tego przez nieszczęśliwe umieszczenie porządnie nudne — coś naksztalt lukrecyi, mimo całej usilności, z jaką przypisnik łagodził ich smak żółcią właściwą sobie chrześcijańskiej miłości. Bądź co bądź, odsunawszy na stronę tę ogólną cechę Dziesięciu Obrazów, przyznajemy że autor okazał w tych miejscach znajomość ewangelii, jakkolwiek przetrawionej w sercu autora właściwym jemu sposobem.

Ale za to, wieleżto miejsc gdzie i tego śladu niema, gdzie przypisnik jest już to najmniej kiedy tylko brzmącym cymbałem, że z przeproszeniem przypisnika użyjemy tego wyrazu przez pożyczkę z jego własnego słownika.

I tak przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy uderza na własność osobistą i przypisuje takiej własności jako konieczny skutek wyosobienie się ze społeczności. Własność osobista, to jest własność nabyta godziwem działaniem władz osobistych, jest tylko wzmocnieniem, rozszerzeniem tych władz, a wyraźniej rozszerzeniem, wzmocnieniem strony materialnej człowieka czyli ciała, czyli narzędzia, które mu jest konieczne aby spełnił swoje powołanie. Zaprzeczać człowiekowi prawa do własności osobistej, jestto zaprzeczać mu prawa do jego ciała. Utrzymywać że

własność osobista wyosabia człowieka ze społeczeństwa, wychodzi na jedno co utrzymywać że ciało ludzkie wyosabia go z niego. Odjęcie człowiekowi prawa do własności osobistej, nie jest rękojmą należytego pełnienia obowiązków społecznych. Jak właściciele osobiści poświęcają się nieraz w zupełności, tak równie mogą być i są niewłaściciele którzy się wylamują z pod zakonu poświęcenia i odstępują swojego społeczeństwa w potrzebie. Zgola własność osobista nieprowadzi za sobą wyosobienia się, egoizmu.

Przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy zaprowadza dzisiaj spólną własność, i popiera ją głównie przykładem pierwszych chrześcijan. Własność spólna utrzymywała się między pierwszymi chrześcijanami, kiedy chrześcijaństwo nieutworzyło jeszcze oddzielnego narodu, kiedy całe zamknięte w szczupłej liczbie rozproszonych pomiędzy narodami wyznawców tworzyło rodzaj zakonu, sektę, potrzebowało nadzwyczajnych wysiłków, nadzwyczajnego stanu do utwierdzenia swojej wiary, kiedy rozpalone jeszcze dziewiczym ogniem słowa świeżo z niebios spuszczonego było w możności zdobyć się na ten byt nadzwyczajny, kiedy całe zajęte było raczej zbawieniem jak sprawami ziemskimi, raczej dobrem zagrobowem jak życiem doczesnym, zgola: kiedy było tym czem są i dziś jeszcze zakony niemające własności osobistej. Zmieniło swoje wyobrażenia kiedy ze wzrostem swoim zmuszone było zastosować naukę Chrystusa do bytu ziemskiego.

Przypisnik jest brzmącym cymbałem, kiedy gada o zamienieniu Polski w królestwo boże. Nie dla tego, broń boże, abyśmy sobie nieczytyli takiego jak Pan Bóg króla — na tego jednego dalibyśmy nasze wotum. — Ale czy podobna myśleć o tym na seryo, przynajmniej dzisiaj. Nam się zdaje tak niepodobna, że mamy wstręt od zbijania tego pomysłu na seryo. Powiemy jednak słów kilka, a powiemy dla tego, że jest w tym sprawa nie z samym tylko przypisnikiem, i nie o boże tylko królestwo. Znajdą się między naszymi czytelnikami którzy odgadną do kogo pijemy. My niebronimy dzisiejszego porządku rzeczy; świadkami ci którzy na nas krzyczą jak na złodziei, rozbójników, marzycieli, itd. Wierzmy nawet w przyszłe królestwo boże, ale dzisiaj! dzisiaj dążymy tylko do zrobienia tego co zrobić można, do rzeczypospolitej polskiej, w ścisłym pojęciu dzisiejszego tego słowa. Myślimy że na tym właśnie zależy dzisiaj najwyższa, prawdziwa miłość ludu. I my także moglibyśmy sobie wymyślić doktrynkę, spirytualniejszą od wszystkich jakie dotąd były, bardziej społeczniczą (komunistowską), bardziej chrystusową, bardziej króloboską jak doktryna przypisnika i tylu pokrewnych mu nieprzypisników, najwyższy ideał, nie już królestwa, ale carstwa bożego — bo mamy poetów, którym dzięki bogu niebzywa na fantazyi a gdyby ta poszwankowała, pożyczilibyśmy jej z pierwszego lepszego domu zdrowia, i przesadzilibyśmy wszystkich dotychczasowych utopistów — niewątpimy że o tym nikt niewątpi — moglibyśmy więc wymyślić taką doktrynę, i zabrać się do jej zrealizowania, a wszystko na zasadzie odlamaną ostatniej pieczęci ewangelicznej; ale pytamy: jaka stąd korzyść dla ludu? gdybyśmy nieznaleźli dosyć sił do zrobienia tego co chcemy, a przeszkadzali temu co zrobić można? Oto, mybyśmy marzyli, krzyczeli, burzyli, a biedny lud cierpiałby po dawnemu. Nie! ludowi niechodzą o najlepsze od razu ale tymczasem o dobre: prawdziwym zaś przyjaciółm ludu powinno chodzić nie o to, aby natychmiast urzeczywistnić pierwsze lepsze widzi-mi-się, jakie czytujemy niby z ewangelii lub pocziwego serca, ale o to, aby wprzód przygotować miejsce dla tej myśli, usposobić do niej tak przyjaciół jak nieprzyjaciół. Żeby z tym światem dojść do ładu, trzeba naprzód poznać jaki jest, potem jaki być może w pewnym czasie, z pewnemi ludźmi, a nakoniec ocenić własną zdolność do podobnych robót. I to podług nas jest praktyczność, na którą przypisnik powstaje, tak przynajmniej sądzimy; jeżeli się mylimy, wina jego ogólników. Z taką praktycznością pogodzić się życzymy przypisnikowi z całego serca, dla dobrej sprawy, i dla jego własnej reputacyi. Może ten wyraz jest zimny, nadużyty, a co pewna niebardzo swójski, ale nie tak i niedorzeczny jak się zdaje, bo pomiędzy innemi i to on powiada, że nie można urządzać tego świata w takim stanie umysłu, jak żehy

tylko co się wyszło z uczy w Kanie-Galilejskiej.—Na tém nie koniec. Królestwo boże pod warunkami podanemi przez przypisnika zaprowadza niewolę jak należy. Dowiedlibyśmy tego jasno, ale to przedłużyłoby naszą gawędkę, a możeby sięgnęło podejrzenie żeśmy się zarazili chorobą, którą leczyć chcemy, i że w rzeczy samej uważamy za coś ważnego gawędkę przypisnika.

Idziemy więc dalej i jeszcze raz słyszymy próżny brzęk cymbału. Słyszymy go w tém miejscu, gdzie przypisnik napęda do utworzenia królestwa bożego przez stan społeczności, w którym wzajemna tylko miłość ma być prawem, władzą, itd.—miłość ma się rozumieć taka jaką przypisnik okazuje. Wyobraźmy sobie teraz gminę złożoną z podobnych ludzi i podobnie urządzonej: Piękna mi boża gmina! Z resztą możeby to i niebyło tak złe jak się nam zdaje; może przypisnik ma siłę dostateczną do urządzenia społeczności. Dobrzeby zrobił gdyby dał próbę swoich zdolności, na przykład przez uszykowanie nasamprzód własnych wyobrażeń lepsze niż jest w przypisach.

W powyższych pomysłach przypisnik wydaje się cymbałem brzmiącym, ale są miejsca gdzie go już widzimy nawet bez przymiotnika. Daje on na przykład gdzieś do zrozumienia że odłamał jedną z pieczęci pisma świętego, czyli że pojął ewangeliję. Na Boga! niech tego niegada. Kto go przeczyta albo mu ubliży niewiara, albo uwierzywszy może powzając o ewangelii wyobrażenie niebardzo korzystne, ujmujące jej świętości. Jeszcze co ewangelicznego, tchnącego duchem pierwszych rozświeców chrześcijaństwa w tej gadaninie, oprócz kilku myśli żywem z ewangelii ni przyszytych ni to przyłatanych, oprócz kilku wyrazów które uwzględnił się wszędzie mieszać jakby na sparodyowanie podstaw Chrystyanizmu. Ta żółć burząca się na dnie każdego pomysłu, każącego niby miłość; ten brak natchnienia, bez czego w przedmiocie tak ważnym, tak wzniosłym ani pisać ani mówić dobrze niemożna, brak który ciągle wleczy pisarza po płaskościach myśli, tarza go jedynie w jej mętach, to wieczne wirowanie około kilku myśli, które nierozjaśnia ich o jedną iskrę więcej, nieposuwają naprzód o krok jeden, te stopy wyrazów bez myśli, te bagno myśli bez duszy, jest—zeto owa prostota, godność, wzniosłość, pokora natchnionych opowiadaczy słowa miłości, słowa bożego? jest—zeto ten niebieski ogień, święta po nich spuścizna? Nieprzystoją one raczej półmędrkowi, który obok siebie niewidzi nic równego sobie, niedolnemu strawić umysłowego swojego pokarmu, zloszczącemu się na świat że nierozumie tego czego on sam niepojął? Minęły widać te czasy, kiedy celnicy, rybacy, napojeni słowem Chrystusa rozlewali je na świat strumieniem tak jasnym, czystym, świętym, tak godnym swojego źródła; dzisiaj profesorowie nawet wyrównać im niemożna. Dla czegoż to? Dla tego niezawodnie, że, nieprzymawiając nikomu, udajemy apostołów niemając ich przymiotów, prostaczków, mając rozum przewrotny, miłujących a opętanych miłością własną, gadających o poświęceniu się bez chęci poświęcenia się. I my! tacy ludzie, w takich czasach nieprzestajemy na rzeczypospolitej polskiej, pniemy się do królestwa bożego! O nie! dopóki będzie jak jest, przynajmniej w Dziesięciu Obrazach, dopóty wszystkie nasze przypisy i nieprzypisy będą jako brzęk cymbału; dopóty będziemy wołać: biada temu kto się z Chrystusa zgorszy!

Z resztą niema nic złego coby na złe niewyszło: kto gada ten się wygada. W tym przypadku zdaje się nam być przypisnik.

Zapomnieliśmy jeszcze za to podziękować. Właśnie ten popełd do wielomóstwa, odkrył nam przyczynę dla której przypisy nie zrobią wielkiego zamieszania w umysłowym świecie polskim, tą przyczyną — jest — brak talentu i sensu. Mimo to jednak byłyby ciekawe, gdyby nie tyle nudne. Bo proszę tylko wyobrazić sobie tłum liter zapelniających kilkaset stronice w wiecznym obrocie około kilku myśli, a raczej kilka myśli depeących wiecznie po jednej ścieżce, ślady tych samych liter. Wiemy co mówimy. Wiemy o tém że niejest wadą dzieła, kiedy w niem panuje kilka tylko głównych myśli: nawet jedna może się rozwinąć w dzieło bardzo wielkie a jednak zajmujące, kiedy rodzi lub zamyka logiczny szereg myśli koniecznych, ale przypisom niemożna tego zarzucić. Sąto wprawdzie przypisy, każdy z nich stanowi osobną

niby całość, co, kiedy ta osobność niema nic osobnego, bo każdy mówi o tém co wszystkie a wszystkie o tém co każdy pojedynczo, dla tego też każda całość jest tak dobrze nudna jak wszystkie razem, i w tém tak są do siebie podobne jak portret Wołłowicza, na początku dzieła umieszczony, do twórcy dzieła, jeżeli pobocznym wieściom wierzyć mamy; w czém z resztą niewidzimy nic ubliżającego — przynajmniej pisarzowi.

Teraz pozostaje nam prosić szanownych rodziców Dziesięciu Obrazów, aby nam niebrali za złe, jeżeli w sposobie żartobliwym mówiliśmy o dziele tak ważnem przez swoją objętość, jeżeli czasem wymknął się nam żart za ostry może dla ich serc kochających. Bóg nam świadkiem że ten uśmiech niepoczyna się w nas ani z pogardy, ani z nienawiści, a tém mniej ze sceptycyzmu. Jest on nam wrodzony jak bywają wrodzone najlepszym ludziom ponurość i dąsanie się. Niekrępiemy go, bo wiemy że mamy do czynienia z ludźmi, którzy, pomimo uśmiechu naszego, wierzą w nasze braterskie dla nich uczucia, jak oni sami kochają ludzi, choć ich łają gdzie napadną: nakoniec i to wiemy że mogą się pomścić kiedy zechcą, bo w ich prawicach spoczywają gromy Pogromek.

KORESPONDENCYA.

Umieszczamy poniżej list jeden i drugi, przysłane nam uprzejmie przy następnym piśmie:

Wersal, 30 marca 1842 r.

SZANOWNY REDAKTORZE,

Szczęśliwym trafem między rodzinnymi szpargałami znalazłem dwa następujące listy, które nadto szacowni mi się zdają, abym ich publicznej wiadomości przez pismo twoje niepodał. Są to, że pomnę ważność przedmiotu który traktują, wzory precyzji, erudycji, a nadewszystko tej oglady naszego wieku, w której on niezaprzeczenie nad wszystkie wieki celuje. Listy te pisane były w r. 1841; zapisu ani podpisu na nich nie znalazłem — kto wie, niech dopisze. W chwili kiedy *Rysy politycznego życia* sławnych mężów naszych drukiem rozpoczęte już zostały, życzyliby należało, aby wszyscy podobne listy posiadający, skarbu swojego w ziemię niekopali, ale, czyli to przez pisma peryodyczne ogłosili, lub wprost zajmującym się wydaniem przesłali.

(Podpisano): Korespondent *Pszonki* i *Dziennika-Narodowego*.

I.

JAŚNIE WIELMOŻNY HRABIO, KOLEGO W SEJMIE I DOBRODZIEJU!

Jak to jest pewna że nieżyjem bez duszy a bez powietrza nie tchniem, tak bez sejmu, my prawa Szlachta Polska, wiekować w peregrynacji niemożem; *consequenter* być przeciw sejmowi jest *patriæ abruptere vitam*. Rwanie sejmu wielkie sprowadza między nami zamieszanie, oplakanych tragediów przepaściste otwiera źródło. Przez rwanie sejmu, expensa nasze, trudy, prace, zjazdy ze wszystkich krańców świata, oczekiwania, nadzieje, w nic jedno idą. Często i zbytnie obrad publicznych rwanie, Tacyt mówiąc o anarchii polskiej: schyłkami wolności nazywa; Cyceron zaś opisując Nowogródek-Litewski: cytra, na której z wieńca rozerwanego kwiaty z liśćmi rozsypują się. Chybaby komu albo gruba tępość, albo złość tak okrutnie zaćmiła rozum, żeby niewiedzial i nieuznał że w sejmie tylko, cały rząd, cała moc, cała forma i policja peregrynacji, całe wolności Narodu Polskiego *exercitium*, całe publiczne i prywatne każdego z nas dobro i szczęście zaległo. Nieprę ja tego, że czasem i rwanie sejmów na dobre wychodziło, ale przodkowie nasi tego tak niebezpiecznego lekarstwa *in solis* nadzwyczajnych okazach używali. Późniejszych zaś czasów, osobliwie od Jana Kazimierza, jakieśmy części tej *remedium* zażywać poczęli, nietylko skutku dobrego nieczyni, ale i na tegości *perdit*. Bo może być niefortunijszy *status* peregrynacji, jako dla częstego zrywania zostawać bez sejmu, trudzić króla, ebieie hrabio, zgromadzać się z dalekich i odległych krańców na jedno *magnum nihil*! czasu kilka niedziel na dysputach niepotrzebnych stracić, i *tandem* tak wielkie światła całego Polskiego *motus*, zawody, prace, mozoly, nadzieje, tém jednem kończyć: *parturient montes, nascitur ridiculus mus*. Tym czasem ojezyna zostaje bez pomocy i rady o sobie, u postronnych idziemy w pospóżyce; stąd ustawiczne w kraju *wiolencye*, kościółów katolickich rabowanie, klasztorów pustoszenie, kapłanów morderstwa, niepod-

danych ale szlachty gwałtowne od Moskali turbowanie; stąd cudzoziemskich dworów zawieszona z nami interesa z pośmięciem naszego nierządu; stąd *desideria* JW. Hrabiego tyle razy nikczemnie spełzły, i bać się trzeba aby ostatnia z tego ciągłego zrywania sejmu niewypadła zguba, ile, że *niemożę Bóg bardziej żadnego ukarać królestwa, jako gdy go bez rady, w zamieszaniu, w ślepotcie, w kłótniach, w niezgodzie, bez żadnej konkluzji zostawuje.*

Co wyraziwszy, mam honor zostawać z najgłębszym poważaniem.

II.

JAŚNIE WIELMOŻNY HRABIO, BRACIE W CHRYSOSTUSIE I DOBRODZIEJU!

Poświęcony służbie Boga i interesom kapitalnym Miłościwego Adama I^{ro} i miłej nam wszystkim Ojczyzny, jeżeli się odrywam na chwilę od tych mych ważnych obowiązków, i sprowadzam pióro apostoła i ewangelisty na grunt polemiki doczesnej, to nie dla czego innego, *credite Achivi*, jak że w tym postępku niewiedzę żadnego występkę, ale nawet jeszcze interes publiczny. Wszak powiedział jeden z Ojców: «bądźcie żyli duchem i prawdą.» Owoż, Jaśnie Wielmożny Hrabio, położyłeś w ostatnim piśmie swoim te słowa: «*napisatem książkę; chcę ją oddać pod sąd spółziomków; ale gdzież ich szukać? niema biblijoteki...* etc., etc., etc.,» i wystosowałeś na tej zasadzie madry i chwalebny projekt założenia w domu twoim publicznej biblijoteki. Myśl wymieniona, ale jak Pana Boga kocham tak nicoryginalna, ale co do słowa prawie przekopijowana z planu, który ja, lat temu cztery, ułożyłem, i który niedawno, niestety! jednemu z przyjaciół JW Pana komunikowałem. Byłoby po wyjściu na świat *Moich uwag nad mową ustną i wiążaną*; takem się wtedy wyłuszczał:

Exegi monumentum!... (HORACY)

Napisałem dzieło. (JW Pan mówisz książkę vel dziełko, to słusznie, ale czyż nie kopija albo przynajmniej naśladowanie), pod sąd spółziomków oddać je chcę... (JW Pan przekładasz lokucję i psujesz efekt zachowując też same wyrazy). Miłościwy Pan mi to radzi. (JW Pan pomimo zgody z *Księciem Panem* chcesz mieć minę plebeja w kontuszu i wypuszczasz ten frazes.) Ale gdzież są te spółziomki moje! (Myśl taż sama, tylko u JW Pana prozajczniej oddana.) Niema biblijoteki!.. (słowo w słowo). Nieprzełóżam tego porównania, bo sądzę że dosyć powiedział kto był twórcą myśli o której mowa. Oto są powody dla których wyzywam i proszę Jaśnie Wielmożnego Pana o sprostowanie opinii publicznej.

Mam honor pisać się z winnym szacunkiem.

Dnie szalone w Poznaniu.

«Bawmy się! cieszymy się! hulajmy! grajmy! do zawrótu mózgu, jak pijane bachantki—knut, niewola, spodlenie, strata ojczyzny, śmierć najlepszych spółbraci, jeśli ich podziemie—to wszystko zastarzałe elegije—to już niedrażni nawet nerwów, jak u gryzety, która się obczytała romansów Eugeniusza Sue—trzeba więc zmysłowo działać: walcem Strausa, szampanem, piekielną galopadą, gonitwami konnemi, rujnującym faraonem lub lancknechtem...» Czy takieto odgłosy wewnętrzne grały w duszach Polaków księstwa Poznańskiego, którzy na tegoroczny karnawał zlecieli się ze wszystkich kątów, porzucając i gospodarstwo, i domowe sprawy, i skromne wiejskie życie dla wrażeń, dla pobłyszczania, poszastania się na salonach urzędowych, to pana Prezydenta, to Arcybiskupa, nieśmiemy robić domysłów; wolimy rzucić zapytanie naszym braciom poznańskim: niech nam i sobie sami odpowiedzą; praca to niewielka, a że dla nich i dla nas bez korzyści niebędzie, z góry ręczymy i czas wreszcie pokaze. Ale nie koniec na tym. Po prywatnych domach ten sam szal porywał wszystkie głowy, ma się rozumieć utrefnione i upomadowane. —Apropos trefienia włosów—czybyście uwierzyli! Jakiś młodzieniec wezwany z wieloma akademikami do Poznania na wesele pana Dąbrowskiego przypędził pocztą z Berlina, proszę zgadnąć w jakim towarzystwie? —Akademików zapewne—gdzie tam, fryzjera!!! I czego się dziwić: musi być prawdziwy demokrat, niegardzi człowiekiem ludu—rzemieślnikiem. —Być może, z tym wszystkim ten obywatel fryzjer, było rodząj kamerdynera, któremu on młodzieniec powierzył opiekę swęj dostojnej głowy... Same nawet najwykwintniejsze poznańskie elegantki kręciły nosem na ten zbytek—kto wie, może dla tego

że niemają przybocznych fryzjerów!.... Wesele zatem pana Bronisława Dąbrowskiego było świetne—i uroczyste—jako syna narodu—przeszło 600 osób bawiło się—a było sam naród, sama śmietana, same fraki a fraki, same okulary a lornety, same fryzury a fryzury. O Polsko! gdybyś w tęg chwili krzyknęła była na kón dzieci! —wszystko byłoby się ruszyło—do biufetu! wypić za twe zdrowie Ojczyzno! wszak twoje szczęście, wesele, zdrowie, jestto szczęście, wesele, zdrowie tywych dzieł—a patrząc też na ich radością pijane oblicza, czego im potrzeba? czego powiedziećż zawistni? —Ojczyzno, swobód, życia narodowego, uszczęśliwienia ludu, podniesienia oświaty? —Baga-te! —*Oto wolności bawienia się.*

Wspomnienia historyczne.

Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka, wdowa po kasztelanie Kamieńskim, słyneła w końcu zeszłego wieku z wielkiego patryotyzmu, oraz dowcipu, którym dzielnie umiała docinać tak królowi Stanisławowi, jak całej partyi moskiewskiej i figuron rządowym austriackim w Galicyi, gdzie ostatnie lata życia swego spędziła. Udzielamy kilka anegdot w których się maluje cała jej nienawiść do ciemieźców, oraz bystrość i przytomność umysłu, mimo wiek przeszło siedemdziesięcioletni.

Kossakowska była w łaskach u Maryi Teressy, która ją ozdobiła krzyżem gwiazdystym. Znak ten honorowy nigdy przecież nieblyszczał na jej piersiach, równie jak łaska obcego monarchy niewiele miała u niej wazenia. Wszakże Józef II zwiedzając Galicyę i ją nawiedził w Stanisławowie. Na wstępie zaczął rozmowę po francuzku; Kossakowska przez tłumacza odpowiedziała że nieumie innego języka, tylko polski. Zdziwiło to Józefa że napotyka nieumiejącą po francuzku jedną z najmożniejszych pań polskich, o których starannem wychowaniu słyshał tak wiele. Kossakowska obróciwszy się do tłumacza, rzekła: Oświadczaśpan Cesarzowi, że rodzice moi niespodziewali się ażeby ich córka, Polka, była kiedy za granicą. Józef zrozumiał że mówiła o zabozrze Galicyi.

Na tęgże samęj wizycie cesarz pytał ją: Jak się ma pan Mniszcz? —Chory, odrzekła—doktorowie życia nieobiecują, zdaje się że on Niemca niestrawi. —Mniszcz bowiem piérwszy, po zabozrze kraju miał ogromny proces z rządem.

Pewnego razu, podczas obiadu, na którym miała u siebie wielu urzędników austriackich, przyszedł do drzwi jadalnej sali jakiś żebrak. Spostrzegła go Kossakowska, a dowiedziawszy się że to Niemiec, kazała go wpuścić i posadziła przy stole. Urzędnicy zaczęli przekładać, że to za wiele honoru, że dośchy dla niego jałmużny. —Nic to nieszkodzi, odpowiedziała, kto wie czém on w Polsce za lat kilka będzie, może Kreishauptmanem, może gubernatorem, a wtedy dobrze mi dopieczę, lepiej zawczasu ujmować papką i czapkę.

Gdy jej przedstawiano komisarza cyrkulowego, który się zwał Nagi, udając że niezrozumiała jakobyto jego było nazwisko, rzekła: Niewstydz się WPań, tak tu każdy z wasanów do nas przychodzi, ale się prędko okryje.

BARASZKI.

W dziwnych teżto czasach żyjemy. Dawniej bywało nigdy śmierci nieopprzedzała urodzin; teraz przeciwnie, jeszcze się komitet Zjednoczenia nienarodził, już umarł.

—Kom. kor. utrzymuje że komitet Zjednoczenia nieumarł, ale ciężkim zmęczony porodem wpadł w letarg tylko. Niedarmo przepowiadano że komitet będzie potrzebował liktora.

—*Trzeci-Maj* powiada: że dla tego bawi się w króla de facto że «w gapia grać niechce.» Niejstę to sprawdzenie przysłowia: Zamienił stryjek siekierkę na kijek.

—Pewien profesor, niemając co lepszego robić, postanowił zmierzyć skłonność emigracyi polskiej do plotek; w tym celu wynalazł narzędzie zwane *plotki* czy *plotkarz* i rozesłał je po wszystkich zakładach. Ilość zamówionych egzemplarzy ma być skalą usposobień zakładu.